

Przezroczysty jak muślin

Ignacy Morawski służył w sklepie Korzyńskich od lat dwudziestu i zdążył już przywyknąć do różnych nastrojów swoich chlebodawców. Znał na pamięć dni, gdy stary pan Korzyński zamykał się w gabinecie, by w samotności układać rachunki. Pamiętał wybuchy gniewu młodego Juliana, gdy jakiś towar nie przybył na czas. Ale czegoś takiego, co wydarzyło się tego majowego poranka, nie widział jeszcze nigdy.

Julian Korzyński stał w drzwiach gabinetu, błądy jak płótno, które Ignacy właśnie rozkładał przed panną Zawadzką. Jeszcze rano siedział przy biurku przekonany, że ona jest już w drodze do Krakowa – przynajmniej tak twierdziła jego matka. „Cała rodzina Zawadzkich wyjechała” – te słowa dźwięczały mu w uszach. A jednak stała tu, w jego sklepie, tak rzeczywista jak poranny promień słońca na jedwabnych tkaninach.

Jego ręka, wciąż spoczywająca na klamce, drżała ledwo dostrzegalnie. Panna Klara udawała, że nie dostrzega jego obecności, choć jej palce przesuwały się po muślinie zatrzymały się na moment.

– Ten wydaje się odpowiedni... – powiedziała cicho, bardziej do siebie niż do Ignacego. – Lekki, a jednak...

– Klaro... – Julianowi wyrwało się mimowolnie. W jego głosie brzmiała nuta niedowierzania. – Myślałem... słyszałem, że wyjechałyście do Krakowa.

Podniosła wzrok znad tkaniny. W jej oczach błysnęło coś na kształt urazy.

– Jak widać plotki nie zawsze są prawdziwe – odpowiedziała chłodno. Jej palce nerwowo gładziły materiał. – Zostałam jeszcze na kilka tygodni. Sprawy stacji...

– Trwały – dokończył Julian jej poprzednią myśl o muślinie, podchodząc do kontuaru, jakby te kilka kroków miało zmniejszyć dzielący ich dystans, nie tylko fizyczny. – Ten materiał jest trwały, choć wydaje się taki delikatny.

Ignacy dyskretnie się wycofał. Przez dwadzieścia lat służby nauczył się nie tylko rozkładać tkaniny, ale i wyczuwać te szczególne momenty, gdy najlepszą przysługą jest zniknięcie.

Julian obszedł kontuar i stanął obok Klary. Jego palce, te same, które jeszcze niedawno przewracały kartki jej pamiętnika, teraz dotknęły muślinu.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś... – zaczął, ale urwał, gdy ich dłonie się spotkały.

Klara cofnęła rękę tak gwałtownie, jakby się oparzyła. Koronkowa stora za oknem rzucała na jej twarz delikatny wzór cieni, maskując rumieniec, który wypłynął na policzki.

– Nie muszę się tłumaczyć z każdego mojego kroku – odpowiedziała, prostując się. – Zresztą, niedługo i tak...

Nie dokończyła. Przez witrynę sklepową Julian zobaczył znajomą sylwetkę – jego matka, Jadwiga Korzyńska, wysiadała właśnie z dorożki. W drugim powozie, który właśnie zatrzymał się za pierwszym, siedziała córka Pietrowów. Klara też je zauważyła. Jej palce zacisnęły się na muślinie tak mocno, że tkanina się zmarszczyła.

– Dziękuję – powiedziała szybko. – Wezmę tylko ten muślin. Pan Morawski z pewnością...

– Zaczekaj! – Głos Juliana zabrzmiał niemal błagalnie. – Musimy porozmawiać. Ja...

Ale dzwoneczek nad drzwiami już dźwięczał. Jadwiga Korzyńska przekraczała próg sklepu, wpuszczając do środka powiew świeżego powietrza. Jej żałobna suknia, zbyt ciężka jak na majowy poranek, nie pasowała ani do jej jasnej cery, ani do wiosennego dnia. Wydawała się bardziej kostiumem niż strojem – jakby żałoba po mężu była czymś, co pani Jadwiga starannie odgrywała przed światem. Za to towarzysząca jej panna Pietrowa olśniewała paryską elegancją – jej jasna suknia z trenem i kapelusz z błękitną wstążką zdawały się krzywić o swojej zagranicznej proweniencji. Ignacy pomyślał, że te dwie kobiety – jedna w żałobnej czerni, druga w wiosennych barwach – wyglądają jak dwa różne światy, które przypadkiem spotkały się w drzwiach sklepu.

– Panna Zawadzka? – W głosie pani Jadwigi zabrzmiało szczere zdumienie, które jednak szybko zamaskowała uprzejmym uśmiechem. – Byłam przekonana, że panie już w Krakowie! Przecież żegnaliśmy się kilka dni temu...

Ignacy, który właśnie wrócił z zaplecza, zauważył, jak młody pan Julian rzuca matce krótkie, badawcze spojrzenie. Panna Pietrowa tymczasem stała przy drzwiach, jakby niepewna, czy ma się przywitać, czy udać, że nie zauważa tej niezręcznej sytuacji. W końcu zdecydowała się na lekki ukłon w stronę Klary, który był równie wymuszony jak uśmiech pani Jadwigi.

Klara już miała coś odpowiedzieć, ale do środka wpadł zdyszany posłaniec. Chłopak był czerwony od biegu.

– Panna Zawadzka? – wysapał, kłaniając się. – Baronowa prosi pannę na pensję. Powiedziała, że to ważne.

Klara spojrzała na niego ze zdziwieniem. Zbladła. Baronowa Dobrzyńska, która na prośbę jej matki zgodziła się mieć na nią oko podczas jej samotnego pobytu w Warszawie, nie wzywała bez powodu.

– Teraz? – zapytała.

– Tak. Baronowa kazała powiedzieć, że chodzi o... – chłopak zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć – o panny reputację i że ma panna natychmiast przyjść.

Jadwiga Korzyńska uniosła brew z zainteresowaniem.

– Ach, więc to baronowa Dobrzyńska się panią opiekuje? – W jej głosie zabrzmiała nuta satysfakcji. – Ciekawe. Bardzo ciekawe.

Julian zmarszczył brwi.

– Mamo, o co ci chodzi?

– O nic, kochanie. Po prostu baronowa ma... szczególny talent do aranżowania różnych spraw. Nieprawdaż, Natalio?

Panna Pietrowa uśmiechnęła się znacząco.

– O tak, baronowa jest niezastąpiona w pewnych kwestiach. Szczególnie gdy chodzi o odpowiednie... skojarzenia.

– Mimo wszystko – Jadwiga Korzyńska uśmiechnęła się słodko – to dość... niezwykle, że matka pozwoliła pani zostać. Szczególnie gdy pan Wolski tak chętnie oferował swoją pomoc rodzinie.

Klara poczuła, jak pali ją twarz. Doskonale rozumiała, co miał na myśli ten duet spojrzeń i słów – baronowa słyszeła ze swatania młodych panien z odpowiednimi kawalerami. Niektóre nawet na to liczyły.

– Muszę iść – powiedziała sztywno. Odwróciła się do Ignacego: – Proszę odłożyć te tkaniny, wrócę po nie później.

Julian dogonił ją przy drzwiach.

– Odprowadzę panią – oznajmił.

– To zupełnie niepotrzebne...

– Proszę – przerwał jej, a w jego głosie zabrzmiała nuta, której nie potrafiła zidentyfikować. – Ignacy – zwrócił się do subiekta – proszę zapakować muślin i batystę dla panny Zawadzkiej. Wyślemy je później na adres.

– Nie trzeba...

– Nalegam. – Jego ton nie znosił sprzeciwu.

Wyszli ze sklepu w milczeniu. Dopiero gdy znaleźli się na ulicy, z dala od ciekawskiego spojrzenia jego matki, Julian odezwał się:

– Dlaczego nie wyjechała pani z rodziną?

– Mówiłam już, sprawy stacji... Muszę dopilnować...

– Kłamie pani – powiedział cicho. – Znam panią wystarczająco dobrze, by to wiedzieć. Ten artykuł, który zaniósła pani do „Kurier”...

To było pożegnanie, prawda? Pani odchodzi. Ale dlaczego jeszcze nie teraz, co panią powstrzymuje?

Klara zatrzymała się gwałtownie.

– Nie musi pan wszystkiego wiedzieć.

– Ale chcę. – Złapał ją delikatnie za łokieć. – Klaro... przepraszam. Za wszystko. Za to, jak się zachowywałem. Za Natalię. Za to, że byłem ślepy...

– Proszę przestać. – Wyrwała się. – Baronowa czeka, pańska narzeczona zresztą też.

– Ona nie jest moją narzeczoną!

– Jeszcze nie – odparła gorzko. – Ale będzie. Baronowa i pańska matka o to zadbają.

Ruszyli dalej. Pensja znajdowała się niedaleko. Gdy dotarli pod budynek, Julian zatrzymał się.

– Kiedy pani wyjeżdża?

– Za kilka dni, może tydzień.

– To... to dobrze – powiedział, choć jego twarz mówiła co innego. – Kraków to piękne miasto. I pan Wolski... on będzie się panią dobrze opiekował.

– Pan Wolski zajmie się moją siostrą Rozalią – odpowiedziała chłodno – nie mną.

Julian spojrział na nią zaskoczony.

– Myślałem...

– Źle pan myślał – przerwała mu. – Jak zwykle zresztą. Do widzenia, panie Korzyński.

Weszła do budynku, zostawiając go na ulicy.